Janina Łagoda

Radziecka konstrukcja, polska eksploatacja, smoleński upadek tuż przed nieodległą katyńską nekropolią, to synteza samolotowego tragizmu sprzed z górą siedmiu lat. Miało być uroczyście, bogobojnie w hołdzie dla tych, których w wojennym zamęcie przyjęła obca ziemia. Ale nad tamtą krainą od wieków ciąży nieodgadnione fatum. Tym razem źródła nieszczęścia grawitują ku Polsce. Była to nieodpowiedzialność co niektórych mających obowiązek dbania o bezpieczeństwo rodaków i swoje również. Nastąpiło sprzężenie zwrotne. Zderzyła się decyzja polityczna (w zamyśle reelekcyjna kampania prezydencka) wtłoczona w zamysł urzędowego oddania hołdu katyńskim ofiarom z organizatorską nonszalancją decydentów, którzy wraz z zaproszonymi przez siebie gośćmi usadowili się w fotelach TU 154M nr 101 o wątpliwej ideologicznej proweniencji.

Tragiczny finał tamtej hołdowniczej podróży jest coraz szczelniej przysłaniany hipotezami, wątpliwościami, przemilczeniami, pytaniami niekiedy o fantazyjnym posmaku, mimo że przyczyny upadku flagowca o ponadziemskich możliwościach zostały urzędowo zdefiniowane, a dotychczasowe próby ich dezawuowania nie powiodły się. Trop rosyjski również się zagubił, a niepojętą katyńską wojenną zbrodnię przyćmił upadek samolotu. Nie sposób godziwie zgłębić tę tajemnicę poza tym, że prymitywne politykierstwo, iskrzące diagramami krajowego poparcia wzięło górę nad szacunkiem dla śmierci. Asymetria obydwu zdarzeń jest olbrzymia, zaś Smoleński wypadek lotniczy niczym się nie wyróżnia od innych podobnie smutnych zdarzeń na świecie, ale to polski traf. Zasłużył więc na wyjątkowe traktowanie.

Nadzwyczajność katastrofy

Prestiż kursu tupolewa wzmacniała obecność na pokładzie Prezydenta RP, oraz prominentów zarządzających państwem, jak i innych osób, w tym z kombatanckimi certyfikatami walki o suwerenność RP. Miało być wzniośle. I tak było do momentu lądowania, kiedy to w jednej chwili pochłonęła ich ziemia, tak, jak tych sprzed 70. laty, którym mieli oddać hołd. Tamtych w skrytości mordowali obcy. Tym razem stery były w rękach rodaków, ale cóż z tego, gdy przesądziła brawura cyfrowana schlebianiem zwierzchnictwu. Zlekceważono organizatorskie i pilotażowe rygory, które dzisiaj urosły do niewiarygodnych rozmiarów. Ich konsekwencje są rozdrapywane, ale wyłącznie w niesmacznej żonglerce wykresami politycznego poparcia, bo przyczyny tragedii dawno temu zostały wyjaśnione przez polskie i rosyjskie państwowe komisje badające to zdarzenie.
Nadal trwają, po obydwóch stronach dochodzenia prokuratorskie. Normalna to praktyka przy każdym takim zdarzeniu. Niewiele wprawdzie wiemy o bieżącym stanie rosyjskiego śledztwa. Natomiast komunikaty płynące z ustaleń polskiej strony przybrały barokowy obraz cieniowany

dowodowym brutalizmem. Pełno tutaj gmatwaniny podejrzeń, spektakularnych przesłuchań, w tym Prezydenta Europy, enigmatycznych oświadczeń, niedomówień, eksperymentalnych projekcji etc., które miast wyjaśniać, mnożą wątpliwości wokół tragedii.
Duchem wallenrodyzmu została skażona prokuratura, funkcjonująca wprawdzie w izolacyjnej kapsule pozornej niezależności, ale z politycznymi przepustami. Plejada tragicznie zmarłych osób o życiorysach niekiedy wykraczających poza przeciętność, ciąży nad wiarygodnie ustalonymi powodami tego nieszczęśliwego upadku. Zginęli politycy, wśród nich urzędujący Prezydent RP, a to w krajowym obszarze otwiera rozległą płaszczyznę układnych domysłów, zważywszy że szefem rządzącej partii pozostaje zarządzający państwem brat - bliźniak zmarłego, który nie ustaje w identyfikowaniu przyczyn i sprawców tego fatalnego lotu. Pytań kluczących wokół prawdy wiele, zaś odpowiedzi brak. Dobry to grunt do nasadzania kolejnych spekulacji, wtłoczonych w rodzimy trójkąt bermudzki: rosyjskie dochodzenie – polskie urzędowe procedury wyjaśniające – eksperymentalna egzotyka. Szanse na konsensus niewielkie. Takie to osobnicze perpetuum mobile.
Trwa parcie na umiędzynarodowienie śledztwa, mimo że taki status już posiada. Wypadek zdarzył się poza granicami naszego państwa i prawną naturą jest równoległe wyjaśnianie zdarzenia przez kraj, na którego obszarze nastąpił, jak i ten dotknięty wprost tragedią. Są to wprawdzie niezależne formalno-merytoryczne procedury, ale w normalnych relacjach wspólnota interesów stron bierze górę nad małostkowością. Początki były obiecujące. Trwało to chwilę dopóki katafalk nie spowiły zadawnione polsko-rosyjskie animozje. Polityczna nekrofilia zdetronizowała przyziemność i objawiła naszą urojoną niezwykłość w szukaniu przyczyn upadku. Pojawiły się więc tezy o: dywersyjnym lotniskowym naprowadzaniu samolotu, wybuchu na jego pokładzie, moskiewskim zdalnym sterowaniu lotem etc., uzupełnione rzekomą nikczemnością w traktowaniu szczątków zmarłych. W tym myślowym schemacie zielone światło mają wszelakie wątpliwości pod warunkiem, że są kompatybilne z mentalną nawigacją obozu władzy. Można rzec, że wokół dramatu powstało smutne targowisko próżności, jakby to nazwał W.M. Thackeray (1811-1863).
Koncepcja nadania wypadkowi międzynarodowego poruszenia jest nadal aktualna. Intencje jednak pozostają w odległości od oczekiwań. Po długich zabiegach, raptem w dwudziestym punkcie rezolucji Parlamentu Europejskiego (P8-TA-PROV(2015)0074 z 12 marca 2015 roku), dotyczącej całkiem innej kwestii, bo zabójstwa rosyjskiego opozycjonisty Borysa Niemcowa (jego córkę Żannę uhonorował Instytut Lecha Wałęsy – 4.8.2015 r.) oraz stanu demokracji w Rosji, wezwano władze rosyjskie do niezwłocznego zwrócenia nam wraku samolotu oraz czarnych skrzynek. Uchwała to formalizm bez prawnych skutków. Nas nie zraziło i to, że brukselskie głosowanie nie było aklamacją (316 głosów za, 245 przeciw, 36 wstrzymujących się). Szczątki wraku, jeśli wrócą do kraju zapewne staną się narodowymi relikwiami, wprawdzie poradzieckimi, ale splamionymi polską krwią. Ich dystrybucja, jak należy domniemywać, wpisze się w trend podgrzewania emocji, bo nasza rodzima jednomyślność, to trwanie przy własnych zdaniach z napinanymi cięciwami emocji.
U jednych upływ czasu goi rany, inni je rozdrapują. Kraj staje się dziwnym, jeśli wolantem operują nielicencjonowani nawigatorzy. Tam też najczęściej sytuuje się bezradność wobec nadzwyczajnych zdarzeń. Ówczesną nieroztropność dzisiaj uzupełnia pleniąca się podejrzliwość. W tym konkretnym zdarzeniu azymut spolegliwości wyznacza pozostający w permanentnej żałobnej ekstazie prezes od dziejowej sprawiedliwości.
Zamiast uszanować szczerość uczuć, wtłoczył tragedię w politykę, inkrustując ją różańcowymi krzyżowcami. Ponad siedmioletnia ekstaza upadku kruszy moralne normy i ewangeliczne

zwyczaje. Obłuda stała się poprawnością. Dla wielu publiczna regularna obecność w bliskości prezesa, to prosty sposób gruntowania swojego statusu politycznego, ale też i wstęp do karier otwierających zawór z materialnymi profitami. Po drugiej stronie ulicy jarzy się obywatelski bunt, a żelazne konstrukcje oddzielające suwerena od swoich wybrańców dodatkowo wypełniają setki policjantów o zagubionych obliczach. Oby finał tego rozdarcia nie przywołał kolejnej katastrofy. Rzecz to złożona i chyba nawet Machiavelli (1469-1527), autor traktatu o sprawowaniu władzy, miałby kłopot z wtłoczeniem tego przypadku w swój system pojęć.

Żałobne rozterki

Kirem przysłonięto tragicznie zmarłych. Zwyczajowy to odruch wzmacniający u żywych godność tych, którzy odeszli. W smoleńskim momencie była jedność. Okazało się, że dla niektórych to tylko wyrachowany gest. Kotłowanina emocji wzmogła erupcję rozterek wedle funeralnej konstrukcji opracowanej w warszawskiej nowogrodzkiej pracowni. Proste to techniczne rozwiązanie admirujące śp. prezydenta. Pozostali tragicznie zmarli są zaledwie dostawką w kojeniu boleści prezesa. Okrutny to egoizm bezceremonialnie łączący żałość z partyjną giełdą. Sformalizowane ubolewania wyznaczane na dziesiąty i osiemnasty dzień każdego miesiąca stanowią miksturę szczerości i politycznej interesowności uzależnionych od chimery partyjnego guru. Z drugiej strony przybywa krytyków owych publicznych odpraw.
Zastanawiające są motywy pokłonów przed ostatnim miejscem pracy zmarłego brata-bliźniaka. To, że najbliższa osoba w chronometrycznym rytmie kłania się prochom bliskich jest chwalebne i nikt tego kwestionować nie powinien. Natomiast kiedy naturalną żałość okrywa polityka wówczas zstępują emocje. Jeśli zaś do tej celebry angażuje się instytucje państwa, to przybywa kontrowersji dodatkowo podgrzewanych politycznymi przesłaniami prezesa wygłaszanymi z drabinkowej ekspozycji na Krakowskim Przedmieściu. Dokładając do tego niedawno sejmowo ustanowiony karnet dla żałobników pozwalający anektować przez nich miejsce manifestowania oraz zakaz przebywania w ich bliskości innych, nawet tych złączonych tragedią smoleńską, to obywatelski protest staje się naturalnym odruchem w stronę demokratycznych obyczajów. Kordony policyjne są zaledwie chwilowym objawem rozejmu, ale zarazem nośnikiem diabolicznego sporu.
Nic w tym odkrywczego, że smoleńskie miesięcznice od długiego czasu przybrały pozę partyjnej promocji z hasłami o zwycięstwie enigmatycznej prawdy wtłoczonej w polityczne rozrachunki. Trudno odczuć powiew optymizmu w poszanowaniu społecznej różnorodności, także w przedziale międzynarodowych przyjaźni. Dominuje polityka zarządzania przez podziały (divide et impera) z lubością uprawiana przez rządzący obóz, ale ta reguła wkrada się też w szeregi obozu władzy. Na monolicie zaczynają się pojawiać rysy. Dla stratega to porażka, ale rodzimy guru i takie klęski potrafi nicować w sukces w imię lekceważenia dowodów orientując się ku światopoglądom a nie racji stanu, jak trafnie skonkludował tego rodzaju przypadłości Ernst Jünger (1895-1998) w 69. rozdziale traktatu Robotnik. Racja stanu pozostaje więc na uboczu, a do fanatyzmu jeden krok.

Prokuratorskie wspomaganie

Odnosi się wrażenie jakoby trwające od lat wyjaśnienia, teraz weryfikowane przez Podkomisję ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego pod Smoleńskiem nie miały się nigdy zakończyć. Jest to partyjny twór mający generować impulsy szatkujące dotychczasowe już, zakończone ustalenia rządowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego. W krajowym rusofobicznym amoku nie tylko, że wzmagają boleść bliskich ofiar, ale szatkują społeczne więzi i obrażają prawa fizyki naiwnymi eksperymentami. Pecunia non olet, to chyba najważniejszy motyw patriotycznej uczestnictwa w pracach Podkomisji. Ale po czasie bezgranicznej euforii przyszła pora opamiętania i exodus co niektórych jej członków. Prawdopodobną ideą Podkomisji jest znalezienie faktów na to, że upadek lecącego prezydenta RP, to niecny czyn Rosjan przy współudziale ówczesnych polskich władz. Tę pierwotną intencję podkreślił prezes: o mordach zdradzieckich, kanaliach, mordercach brata etc. wygłaszając ją z mównicy sejmowej i adresując do opozycji. Nie sposób racjonalnie odnieść się do tej potwarzy. Gorzej, bo kiedy Podkomisja znajdzie na to dowody, to chyba prawa i sprawiedliwa partia ogłosi stan wojny z Rosją, jeśli już tego nie uczyniła, zaś rządzący krajem w dniu wypadku pozostaną dozgonnie w kleszczach prokuratury, sądów i z penitencjaryzmem na karku. Ten sztafaż jest prawdopodobnie efektem urojonych myślowych powikłań w sytuacjach, kiedy to niedorzeczny splot osnowy i wątku spoczywa w sterowni prezesa.

Grzesznym dopustem są nakazy ekshumowania ofiar smoleńska tylko po to, aby potwierdzić przykłady niezgodności szczątków w imiennych trumiennych przestrzeniach i ustalenie śladów rzekomych wybuchowych pozostałości. Dotąd badania nie potwierdziły zamachu. Nie zraża to jednak partyjnych wyjaśniaczy, aby kontynuować swój marsz ku prawdzie, pozostawiając na uboczu fakty i refleksy innych. Beztrosko przyjęli interpretacyjną dosłowność kodeksu karnego i bezwzględnie ekshumują szczątki tragicznie zmarłych, nie bacząc na odrębne zdania wielu najbliższych ofiarom. Dotąd owa pryncypialność nie zaowocowała pirotechnicznymi śladami, a jedynie anatomicznymi pomyłkami. Podjęto więc desperackie kroki angażowania do badań laboratoria innych państw (np. Wielka Brytania, Włochy), nie wahając się spoliczkować renomowane krajowe pracownie kryminalistyczne, które już wydały werdykty w tym zakresie. Świat dostarcza obfitego poglądowego materiału co do biologicznego stanu ofiar wypadków lotniczych. Identyfikacja osób jest sprawą trudną, a często wprost niemożliwą. Potwierdzają to statystyki proporcji zidentyfikowanych ofiar do ogółu pasażerów tragicznych lotów. Dotyczy to także polskich nieszczęść.

Z dotychczasowymi poradziliśmy sobie w inteligentny sposób bez politycznych egzekwii i w przyzwoitym czasie, dochowując pełnego szacunku dla zmarłych oraz ich bliskich, np. katastrofa w paśmie Policy w 1969 r., w pobliżu Okęcia – 1980 r., w Lesie Kabackim – 1987 r. etc.

Okazuje się, że problem smoleński to inny wymiar. Po latach dochodzeń wstąpiono w bodaj najsmutniejszy jego etap, tj. ponownego identyfikowania szczątków. Inspiratorzy tego pomysłu szokują społeczeństwo meldunkami z prosektorium tłamsząc sacrum. Bliskie to barbarzyństwu, a taką staje się aukcja zawartości trumien w imiennym wydaniu. Niestety wśród plejady komentatorów znaleźli się też niektórzy bliscy zmarłych walczący o właściwą nogę, rękę etc., a to już czystej wody nekrofilia. Motywy ich zachowań wprawdzie mieszczą się w obszarze psychologiczno – etycznych reakcji, ale chyba zapodziała się empatię.

Dla postronnych to niepojęte, że osoby, które były wobec siebie przyjaciółmi, znajomymi etc., a

których jeszcze bardziej zespolił wspólny smutny lot i sakrament cierpienia, raptem - za sprawą żyjących - ich szczątki zostają poddane brutalnej egoistycznej segregacji na oczach gawiedzi, miast w spokoju pozostawić ich pogmatwane prochy. Małostkowość wygenerowała problem. Ciosy przyjmują też Rosjanie, którzy podjęli się identyfikacji ciał pod presją czasu wyznaczonego przez stronę polską. Dzisiaj w spóźnionej refleksji usiłuje się odczarować tamte chwile z identyfikacyjnymi defektami, obdarowując nimi zarówno moskiewskie konto, jak i polskie władze tamtego czasu. Ryzykowna to faktura, a weryfikacja jej prawdziwości, to zajęcie dla sapera, który czasami też się myli, zaś odłamki trafiają nie tylko w jego stronę. W tym przypadku sekcyjno-ekshumacyjne wątpliwości eskaluje osoba prokuratora, który tak, jak w dniu smoleńskiej katastrofy dzisiaj również uczestniczy w procedurach, stając się autokrytykiem tamtych własnych czynów. Może to i dobra zmiana, ale obciążona litanią obiekcji. Pomija się, że w dniu 10. kwietnia owego roku w Smoleńsku i okolicach było sporo wybrańców suwerena z dyplomatycznymi paszportami. Miast przystąpić do pracy w tych kryzysowych okolicznościach, tam na miejscu, bez politycznych animozji, lecz w interesie RP oraz zmarłych i ich rodzin, po zdawkowych ubolewaniach wygłoszonych w świetle kamer, pospiesznie wrócili do kraju węsząc polityczną schedę, przystępując z marszu do kopania strzeleckich transzei ze snajperskimi stanowiskami dla politycznego ostrzału tych, którzy podjęli się trudu ogarnięcia wyjątkowego zdarzenia. Trwa to w najlepsze, zaś tamci uciekinierzy dzisiaj pouczają jak wówczas należało postąpić. I tak bezwiednie objawił się nam geniusz klasyka: Nową przypowieść Polak sobie kupi, że przed szkodą i po szkodzie głupi (J. Kochanowski – 1530-1584, Księgi wtórne. Pieśń 5), ale wniosków z tej przypadłości partie nie wyciągają i nadal się taplają w błotnych diagramach poparcia. Strzelecka celność niekiedy zawodzi, lecz nie kończy igrzysk.

Pozostało ściernisko

Nie sposób oszacować konsekwencji eksplorowania smoleńskiego nieszczęścia. Zasobna to kopalnia, a jej urobek roznieca polsko – polskie animozje kraszone rusofobiczną alergią rządzących. Ostentacja w rytmicznym i niekończącym się uprawianiu siedmioletniej żałoby, to niezwykły rekord w ewangelicznych przesłaniach o czczeniu tych, którzy odeszli do Domu Ojca. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby spowijała je liturgiczna zaduma nad ich pozaziemskimi losami. Niestety pokorę wobec śmierci brutalnie wtłoczono w polityczne szranki, utożsamiając bogobojność z obrazoburczym politykierstwem.
Narracja owych miesięcznic uległa ewolucji. Jeśli na początku wspominano w równym imiennym wymiarze wszystkich, którzy zginęli, łącznie z kontrowersyjnym wszechpolskim apelem smoleńskim, to z biegiem czasu zrodził się mit śp. prezydenta. I jak przystało na ten literacki gatunek wiele tutaj nieprawdopodobnych argumentów. Pozostali nieszczęśnicy, to zaledwie ozdobnik promowania jedynego z referencjami do pomnikowych odsłon. Jest to niezaprzeczalny sukces brata-bliźniaka z aplauzem pretorianów. Istnieje jednak obawa, że bezrefleksyjny poddańczy nawis dnia dzisiejszego trafi w tryby naukowych analiz historyków, bo każdy przypadek kreowanego bohatera posiada swój termin ważności, zaś gorycz prawdy nie jest smakowitym napojem.
Smoleński upadek będzie eksploatowany do dnia ostatniego. Kiedy on nadejdzie – nie wiadomo, oby jak najszybciej. Wszystko w umyśle prezesa, bo scenarzysta i reżyser to jedna

osoba, a powolnych aktorów dostatek. Casting więc trwa. Do niedawna urzędowe umartwiania odbywały się w pokorze, ale polityczne refleksy prezesa zdemolowały świętość, tworząc barykady. Czeluść między nimi wypełniają, jak za nieodległych czasów, stalowe opłotki i policyjne formacje z nakazu bliskiej prezesowi osobie z deficytem intelektualnym, jak to zsyntetyzował jeden z rozsądnych polityków, a dawniej trzeci bliźniak. Anektowanie prezydenckiej ulicy będzie kontynuowane. Kontrowersji nie zbraknie, bo prezes przyjął czerń jako dozgonny kolor swego optymizmu, a białe róże jako oznakę pesymizmu i wrogości.

***

Polityczna wichura trwa przywiewając ziarna kąkolu. W bogobojnych pokłonach gnieździ się hipokryzja, a interes Rzeczpospolitej zbladł i modułowo koreluje z symbolem Zaleszczyk. Zapomniano, że uczestniczyliśmy w wielu historycznych karambolach na autostradzie Wschód – Zachód (czyt. Moskwa – Berlin) i odwrotnie. Za przejazd naszym odcinkiem nie my pobieraliśmy opłaty, ale uiszczaliśmy tragiczny haracz. Wydumana mocarstwowość nigdy nam nie sprzyjała. I tak pozostało. Ring wypełniają dylatacji, którym co chwila trzeba rzucać ręcznik tym razem ze smoleńskimi haftami. Zamęt nie służy to dobru wspólnemu.

Janina Łagoda